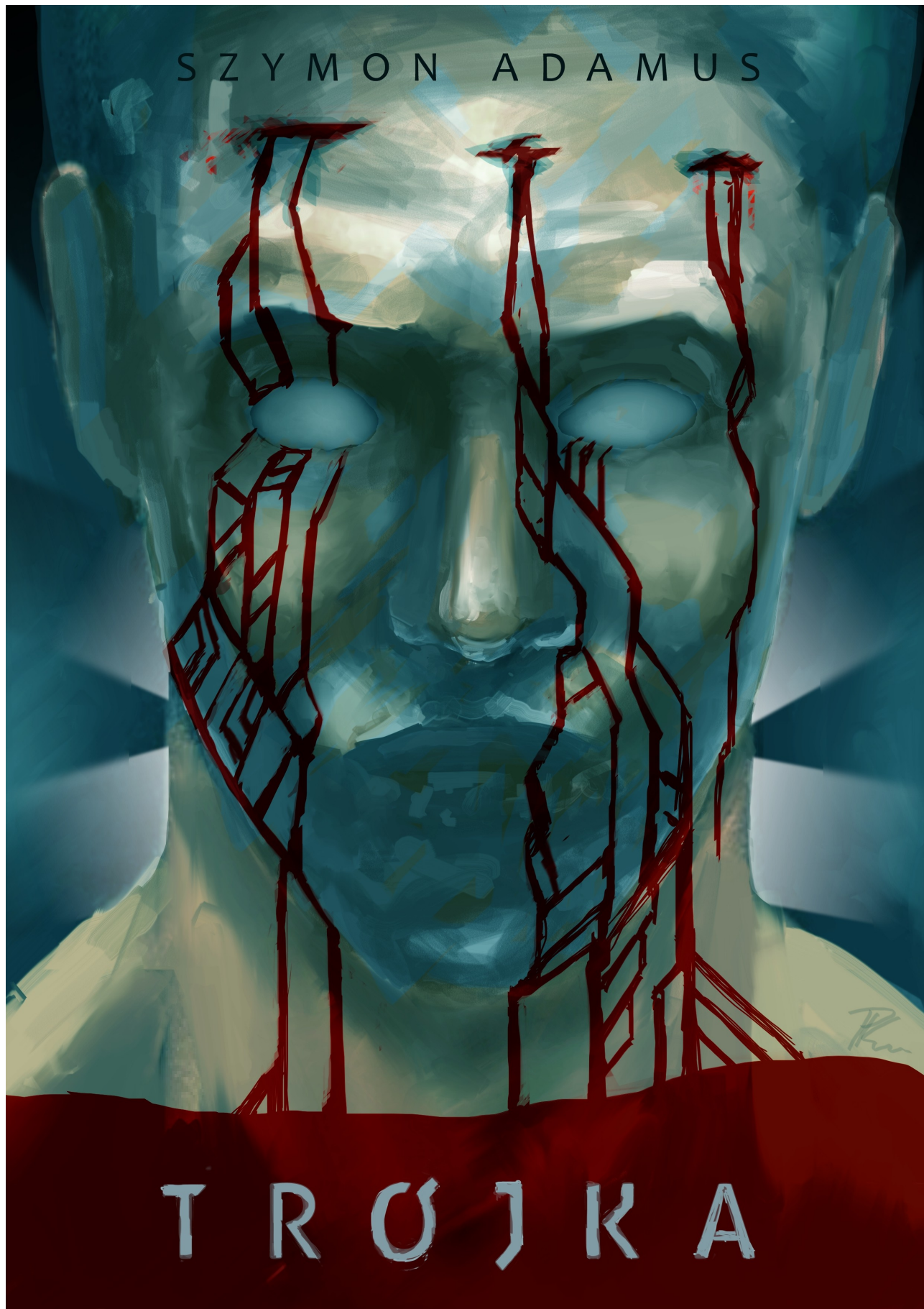


SZYMON ADAMUS



TROJKA

Szymon Adamus

Trójka
(fragment)

Projekt okładki: Paweł Kędzierski

Wszystkie prawa zastrzeżone

Tójka

Ochroniarz był za rogiem. Dowiedział się o tym dwie minuty temu, gdy ten nieopatrznie trzasnął drzwiami łazienki po drugiej stronie holu. W zasadzie słowo "nieopatrznie" jest tu niewłaściwe. Pięćdziesięciokilkuletni pan z wydatnym brzuszkiem nie mógł przecież wiedzieć, jak bardzo implant trzeciej klasy wyostrza słuch. Zresztą, oddelegowali go do tego budynku dopiero dziś rano. Wczoraj na tym miejscu była tylko dziura i nadal działające zasłony elektromagnetyczne. Pierwsi pracownicy wejdą tu dopiero za tydzień, gdy minie ten idiotyczny okres bezpieczeństwa nanokonstrukcji. Kto by nachodził budynek widmo pełen urządzonych, ale pustych jak schowana w jego biurku butelka po piwie biur?

Generator fal usypiających był XXII-wieczną wersją paralizatora. Taką, po użyciu której ofiara nie wiedziała nawet, że coś jej zrobiono. Ochroniarz zasnął w pięć i pół sekundy.

Pobiłeś rekord, dziadku - pomyślał John i ruszył przed siebie. Zostało mu pięć godzin do świtu, a dziwny strumień uczuć i skojarzeń z wszczepu nie przestawał płynąć. Nie przestawał przywoływać.

Było to dla niego uczucie nowe. Na tyle, na ile jest to możliwe w przypadku nanoimplantacji. Najciekawszą, odkrytą po pierwszych stu zabiegach w 2080 roku sprawą było zjawisko wrodzonej nowości. Implant, rozrastający się naturalnie od płata czołowego na całe kresomózgowie, po aktywacji był taką samą częścią ludzkiego ciała jak ręka czy noga. Świadomy człowiek nie uczy się używać ręki czy nogi w wieku trzydziestu pięciu lat. Po prostu to robi. Dlatego instrukcje do zapór z nanitów pisali tylko bezwszczepowcy. Każda osoba po zabiegu w ułamku sekundy zdawała sobie sprawę, jak idiotyczne jest przyswajanie sobie takiej lektury przed połknięciem pigułki. John rozumiał to po stokroć, bo miał wyjątkowe szczęście przy rozbudowie zdolności.

Już na studiach inżynieryjnych wiedział, że nie podda się implantacji. Upewnił się w tym po wstąpieniu do korpusu unijnego na ostatnim roku i po szybkich awansach, jakie zdobywał bez dopalania. Wojna interesowała go zawsze głównie od strony technologicznej. Dlatego starał się jak mógł, by trafić do sektora szybkiego reagowania na nanozagrożenia. I udało mu się to. Często jeździli na zwykłe akcje, pieniądze podatników nie mogły się przecież marnować, ale ich główne zadania dotyczyły wrogów niewidocznych gołym okiem.

Musiał przyznać, że siedzenie w opancerzonym pojeździe dwa kilometry od naszpikowanej nowoczesną technologią bazy wroga byłoby znacznie przyjemniejsze, gdyby mógł odciąć chociaż część myśli, jakie przychodziły mu do głowy. Ale widział dostatecznie dużo implantowanych żołnierzy, którzy wariowali na sam widok wystrzału z działa magnetycznego na pokładzie wrogiego

niszczyciela, by wiedzieć, że żadne, nawet najdoskonalsze blokady nie potrafiły zrobić z człowieka bezuczuciowego zombie.

Nanoimplanty bazowały na starej, ponad stuletniej technologii – manipulacji cząstkami atomowymi. Na początku XXI wieku robiono w taki sposób loga firm i działające kolejki o rozmiarach tak małych, że wręcz niewyobrażalnych. Później pojawiły się nanity konstrukcyjne, bardzo proste, ale skuteczne. Od wzmacniania stopów metalu ludzkość przeszła do nanokonstrukcji budowanych nie rękoma murarzy, ale bioinformatyków. Złotym Graalem był nadal bezpieczny nanorobot medyczny. Potrzeba było sześćdziesięciu lat badań i testów na zwierzętach (a gdzieś tam nie tylko na nich), by zrozumieć, że problemem nie jest ludzkie ciało, lecz umysł. Niezbadany nadal ludzki mózg działa w dziwny sposób. Potrafi nakazać całemu organizmowi walkę z obcą cząsteczką ludzako podobną do białej czy czerwonej krwinki, nawet jeśli jest ona pomocna. Bo tym w istocie miały być nanity medyczne. Podróżującymi po ciele imitacjami naturalnych związków, robiącymi nienaturalne rzeczy. Walka z komórkami rakowymi, regeneracja tkanek, odbudowywanie utraconych wiązań synaptycznych. Możliwości były nieograniczone. Problem w tym, że to nie działało. Religioznawcy snuli teorie, że to sam Bóg daje znać, że się zagalopowaliśmy. Filozofowie próbowali wytłumaczyć ten problem przez pryzmat egzystencjalizmu, epikureizmu i setek innych koncepcji życia. Medycyna rozkładała ręce. Aż do roku 2075, kiedy powstała teoria blokady informacyjnej. Sugerowała ona, że problemem nie jest tu biologia, ale psychologia. Ludzki umysł czuł obecność obcego ciała w organizmie i nie podobało mu się to. Rozpoczęto więc próby, aby powstrzymać ten mechanizm. Z początku skutki były takie, że czterech na dziesięciu ochotników wariowało, a pozostali dochodzili do siebie w zakładach leczniczych dla osób z wypaczonym przez nanity postrzeganiem rzeczywistości. Przełom nastąpił, gdy jakiś sprytny bioinżynier podszedł do sprawy od strony mechanicznej. Skuteczna nanoblokada musiała działać jak komputerowe sterowanie wtrysku w XX-wiecznych samochodach spalinowych. System musiał kontrolować przepływ paliwa, bez ingerencji w sam mechanizm. W ludzkim umyśle tym paliwem była wiązka informacji wędrująca po centralnym układzie nerwowym. Okazało się, że walka z umysłem nie ma sensu. Trzeba go po prostu oszukać.

Właśnie tego chciał uniknąć John. Miał większe pojęcie o nanowszczepach niż jego koledzy. Nie byłby może w stanie zaprogramować dwóch miliardów nanitów do zamiany owsianki w pomidorówkę, ale znał różnicę między implantacją 3.0, spartoloną i zwykłą. Jego zdaniem każda z nich odbierała odrobinę człowieczeństwa.

Sam zabieg był tak banalny, że osoby płacące najpierw pięćdziesiąt, potem dwadzieścia, a dzisiaj pięć tysięcy euro mogły czuć się odrobinę rozczarowane. Z państwowej kasy zabieg wykonywano w tylko w krytycznych przypadkach. W prywatnych klinikach na zlecenie. Po

podjęciu decyzji każdy zdrowy pacjent musiał odczekać dwa miesiące i wziąć udział w sześciu spotkaniach ze specjalistami w dziedzinie medycyny i psychologii. Po tym wszystkim pobyt w szpitalu trwał dziesięć minut, z czego jakieś dziewięć podpisano papiery. Implantacja zajmowała tyle czasu, ile człowiek potrzebował na połknięcie żelowej kapsułki i popicie jej wodą. Setki milionów zarodków nanokultur wpadało do żołądka i pączkowało. Hydrofobowe grupy białkowe zwijały się do środka w ucieczce przed wilgocią. Zaprogramowane przez projektantów łańcuchy aminokwasów tworzyły pierwsze cząsteczki białkowe, których pojawienie się było z góry zaplanowane. Później kolejne o innych właściwościach, następne i jeszcze setki, tysiące... Nienaturalnie zaprogramowane białka o różnych wymiarach i kształtach łączyły się w całość stworzoną dużo wcześniej na wirtualnych deskach kreślarskich. Technienie życia przebijało się przez maseczki zasłaniające usta projektantów i wnikało w ten nieprzyjazny świat, nabierając sił do pierwszego krzyku. Pierwsze maszyny molekularne ożywały, podnosząc z niebytu swoich braci. Proces był praktycznie natychmiastowy. Gdy tylko pierwsza biopapka zamieniła się w działającą maszynę, przyspieszała konstrukcję kolejnych. Po dwóch sekundach było już ich podobno tyle, co ziarenek piasku na plaży, a każda nowa generacja wykorzystywała starszą jako narzędzie w trwającej ułamki sekund ewolucji na drodze do stworzenia końcowych nanitów. W odróżnieniu od przypominających małe roboty nanitów budowlanych, biokonstrukcje medyczne maskowały się, imitując krwinki, tłuszcze i tym podobne. Wszystko po to, by z jak najmniejszymi problemami dotrzeć do płata czołowego i stawiać barierę. Zapora na informacyjnej rzece ludzkiego umysłu zaczynała działać najczęściej w pięć i pół sekundy po popiciu pastylki wodą. Właśnie tyle potrzeba było do stworzenia w ludzkim ciele nowego wszechświata.

Nie było wpisowego przez zabiegiem, by wyeliminować aspekt finansowy. Na dziesięciu chętnych rezygnowało średnio dwóch. Głównie ze strachu przed komplikacjami. Idealnie zaimplementowany wszczep selekcionował informacje płynące z mózgu tak, by reszta ciała nie wiedziała o nanoinwazji. To trochę tak jak przy przelewaniu gęstej zupy przez sitko. Sami możemy wybrać, które warzywa wyrzucić, a które dodać do garnka. I tak jak z używaniem ręki czy nogi, tak i w przypadku bioimplantacji użytkownik rozumiał możliwości intuicyjnie. To nie był komputer z 200-stronicową instrukcją. To była część ciebie. Ta lepsza, dzięki której nieświadomie rozkładasz cząsteczki alkoholu w pubie, walcząc jednocześnie z rakiem wątroby.

Jeden na dziesięć tysięcy implantów nie był jednak tak posłuszny. Nie do końca wiadomo jeszcze dlaczego, ale czasem blokada była nieszczelna, a czasem wręcz przeciwnie – nieprzenikniona. Biedacy z drugą przypadłością padali jak kłody, pozbawieni zdolności motorycznych. Nie można zapisać czystej kartki, nie ruszając dłonią. Nawet jeśli wiesz, co chcesz przekazać. Oczywiście, pisanie było najmniejszym problemem, bo blokada rosła w siłę i po

godzinie odcinała wszelkie impulsy, zatrzymując serce, płuca i w końcu wszystkie najważniejsze organy. Jedynym ratunkiem były nanity bojowe atakujące blokadę. Proces był skuteczny w osiemdziesięciu procentach przypadków, ale w dziewięćdziesięciu dziewięciu wymagał miesięcznej kuracji leczniczej, podczas której człowiek praktycznie nie wychodził z łazienki, robiąc tylko kilka minut przerwy na zmianę kroplówki. Widok potrafił wybić implantację z głowy największego zwolennika tej technologii.

John tego nie przeżył, bo był przypadkiem wyjątkowym. Takim, który lekarze zapewne analizowaliby latami. Gdyby oczywiście armia nie utajniła jego danych.

Po dziesięciu latach nienagannej służby John utwierdził się w swojej awersji do implantacji. Od czasu swojej popisowej akcji podczas skażenia nanobotami budowlanymi w Monachium piął się po szczeblach kariery. Był wtedy kapralem oddziału szybkiego reagowania i zwiadu. Miał pod sobą trzydziestu ludzi, z którymi niszczył już zbiorniki z nanitami budowlanymi, wysadzał nielegalne fabryki amunicji i zdejmował ludzi z dachów budynków zżeranych od fundamentów przez wygłodniały rój niewidoczny gołym okiem. Czterech jego ludzi zginęło tego dnia przy stawianiu bariery elektromagnetycznej wokół placu budowlanego, na którym padły zabezpieczenia, a nanity zwariowały. Trzech z nich ostrzeliwało tyły z granatników pulsacyjnych, gdy czwarty aktywował zaporę. Udało im się, czym uratowali zapewne całe miasto. Ale byli zbyt głęboko w roju. Po tym dniu John wiedział, że nie ma śmierci straszniejszej niż rozłożenie na poziomie molekularnym przez replikujące się w niezrozumiałym amoku nanity.

Gdy zaporę odgrodziła skażony teren, napełniając powietrze przyjemnym zapachem ozonu, mieli dwadzieścia minut na podjęcie decyzji. Według dowództwa po tym czasie nanity zaczęły przemieszczać się w pionie. W głębi ziemi czekało je zniszczenie na zaporze, która miała kształt kuli, ale i tak na miejscu tej dzielnicy miasta zostałyby całkiem okazałych rozmiarów dziura. Wyjścia były dwa. Obrzucić pięć kilometrów kwadratowych bombami elektromagnetycznymi albo przeprogramować szwankującą, centralną zaporę placu budowy. John chętniej wezwałby myśliwce, ale zrzucenie kilkudziesięciu ładunków elektromagnetycznych na centrum metropolii było w XXII wieku jak użycie broni chemicznej. Budynkom nic się nie stanie, roślinność przeżyje, ale to nie był atak chirurgiczny. Sieci energetyczne trafi szlag, wszystkie pojazdy w promieniu dziesięciu kilometrów będą nadawały się do kasacji, a jeśli jakiś idiota używał w piwnicy nielegalnych nanitów budowlanych do izolacji upraw maryški, to cały budynek mógł w dwie sekundy zmienić się w grobowiec. Nie wspominając o implantach medycznych. Nie miały one zabezpieczających wiązań chemicznych możliwych do rozerwania silnym impulsem, tak jak w prostych nanitach budowlanych i niektórych wojskowych. Często jednak wspomagały rozwiązania mechaniczne.

Nawet jeden z jego ludzi miał mechaniczną protezę ręki, która po czymś takim mogła zwiotczeć, albo postanowić udusić własnego pana.

Trzeba było iść, więc poszedł. Sam. Jedni mówią, że zwariował, wziął trzy pasy z granatami elektromagnetycznymi i rzucając je przed siebie dobiegł do panelu kontrolnego, niezartego przez nanity tylko dlatego, że miał osobną zaporę. Inni mówią, że wjechał za zaporę opancerzonym łazikiem z poszyciem z nanitów bojowych i ustawiając działka na ogień ciągły przebił się do panelu, tracąc cały tył pojazdu. Prawda była taka, że wziął do rąk dwa granatniki impulsowe RC40 i, nie przerywając ognia nawet na sekundę, podszedł do panelu w miarę spokojnie. Sześćset wystrzelonych pocisków sprawiło, że powietrze wokół niego żarzyło się jasnymi barwami miliardów nanitów, zamieniających się w widoczną tylko pod mikroskopem kupę chemicznego złomu. Wiązania atomowe maszyn w skali nano pękały jak bańki mydlane, a on szedł i w duszy modlił się do jednego z tych nowych bogów cyberprzestrzeni, by starczyło mu amunicji. I odwagi. O tym jednak ludzie nie wiedzieli i szybko wokół jego wyczynu powstały legendy. Dowództwo zawsze lubiło takie historyjki. Szczególnie jeśli dotyczyły doświadczonych żołnierzy, a nie jakichś narwańców z życzeniem śmierci. John dostał garść medali, mieszkańcy Monachium dziękowali mu na kolanach, a awans o dwa stopnie był oczywisty. Wszystko to bez implantacji.

Swoją pigułkę połknął po trzynastu latach służby. Nie wbrew własnej woli, ale wbrew przekonaniom.

Wszystko wydarzyło się w jakimś afrykańskim państwie, które po raz dziesiąty zmieniło nazwę i władzę. Znowu wyrzynali się tam na potęgę, a że Unia wyszła już z trzeciego kryzysu rozpadowego w 2093 roku, stwierdzono, że czas zająć się resztą świata. Oczywiście, nowo odkryte złoża wolframu, używanego przy konstrukcji skaningowych mikroskopów tunelowych, były dodatkową zachętą.

Oddział Johna jak zwykle poleciał pierwszy. Szybkie wejście, rekonesans i wyjście były ich specjalnością, a nanozagrożenie było realne. Po wylądowaniu wszystko wzięło w łeb. Okazało się, że mała rewolucja zamieniła się w regularną wojnę domową. W ostatnich dwustu latach Afryka znacznie podniosła swoje znaczenie na arenie międzynarodowej, zbijając krocie na rudach miedzi i siarki. Za wzrostem gospodarczym i militarnym nie szło jednak nic więcej. Ulice znów spływały krwią, tylko do jej upuszczania zamiast maczet używano dział mikrofalowych i rakiet odłamkowych. Miasto, które mieli rozpoznać, w zasadzie już nie istniało. Gdzieś uciekała jakaś pojedyncza dusza, ale spod gruzów i zgłiszczy wylatywał głównie smród śmierci. Po dojściu w okolice centrum było już jasne, że nie ma tu czego rozpoznawać. John wydał rozkaz odwrotu, samemu z trzema najbardziej zaufanymi ludźmi kryjąc tyły. Dwóch z nich nigdy nie wróciło do

domu. Trzeci, Paul Mayerson, uratował mu życie, dźwigając na własnych plecach w odorze fekaliów i wymiocin, jakie wylewał z siebie jego dowódca po rzuceniu się na granat gamma.

Gdy John zobaczył na trawie ten błysk, wiedział już, z czym ma do czynienia. Zdawał sobie też sprawę, że jego ludzie mają implanty, na które taki pocisk działa w nieprzewidywalny sposób. Skok do przodu był więc decyzją przemyślaną. Nawet jeśli wszystko trwało zaledwie ułamek sekundy. Przy wybuchu granatu gamma nie ma fali ognia i miażdżącej kości zmiany ciśnienia. Jest tylko skupiająca się na najbliższym celu, ukierunkowana wiązka fal częstotliwości od trzydziestu do siedemdziesięciu herców, wpływająca na percepcję sensoryczną i pamięć. Mówi się, że głównym zamierzeniem twórców tego cholerstwa było inwazyjne wypranie mózgu ofiary tak, by ta odwróciła się na pięcie i zaczęła strzelać do swoich ludzi. W praktyce nigdy się to nie udawało, a granat działał na każdego inaczej. Jedni doznawali natychmiastowych halucynacji z udziałem ognia lub owadów. Inni zapadali w śpiączkę, dostawali spazmatycznego śmiechu lub uczucia relaksu, jak po dwóch działkach syntetycznej morfiny. W momencie skoku John pomyślał o bezsensie wojny. Myśl ta zwielokrotniła swoją siłę pod wpływem bezgłośniejszej eksplozji i skumulowała się w mózgu ofiary, wchłonawszy całą wiązkę fal. Efekt był taki, że w jego umyśle pojawiła się psychiczna blokada przeciwko wszystkiemu, co z wojną związane. John miał na sobie wtedy nanoskafander, karabin magnetyczny i tyle środków wybuchowych, że mógłby zrównać z ziemią całe państwo. Wyprany umysł wysłał więc do ciała informacje o buncie, a to zareagowało we wszelki możliwy fizyczny sposób.

Gdy transport ewakuacyjny odstawił go do bazy, był półprzytomny. Nie mógł widzieć twarzy tych młodzieńców, którzy z niedowierzaniem patrzyli na bohatera Czyszczenia w Monachium, srającego i rzygającego pod siebie.

Rekonwalescencja trwała pół roku. Po miesiącu wizyt u psychologa umiał powstrzymać odruch wymiotny na widok broni w filmie wojennym. Po trzech zagrał w pierwszą grę i zdążył zapaskudzić ekran zanim ten się zwinął. Lepiej przyswajał tradycyjne książki, ale o animowanych e-bookach mógł zapomnieć. Opinia trzech specjalistów była zgodna. Implantacja albo emerytura. Przez pół roku sytuacja w Afryce się nie uspokoiła i, mimo że wszyscy czekali w tej kwestii na ruch Chin, to Unia i Stany już przebąkiwały coś o tymczasowej koalicji dla uspokojenia wrzawy. Potrzebni byli bohaterowie. Szybko i na pęczki.

- Poczuj pan mrowienie z tyłu głowy. Chwilę później będzie po wszystkim. - Lekarz trzykrotnie tłumaczył mu procedurę, jakby chodziło o otwarcie płata czołowego. Nie podobało mu się, że wojsko płaci za ten zabieg, a wyglądający na całkiem zdrowego pacjent jest tu tego samego dnia, co zlecenie wykonania implantacji. Papiery były jednak w porządku.

Oprócz implantacji zupełnie udanej i całkowicie spartolonej był jeszcze trzeci, rzadszy niż naturalna wołowina w fast foodzie przypadek. Czasem, gdy blokada staje się nieszczelna i zaaplikuje się nanity bojowe nie dochodzi do silnej reakcji oporu organizmu. Raz na miliony przypadków nanity z blokady i atakujące je bojówki dochodzą do niezrozumiałego porozumienia na korzyść nosiciela. Nadal jest miesiąc katorgi leczniczej i uzupełniania płynów fizjologicznych, ale nie z powodu degradacji organizmu, tylko wydłużonego czasu tworzenia blokady. Po czymś takim powstaje implant 3.0 lub potoczna Trójka. Jego nosiciele mają niespotykane możliwości kontroli nanitów. Podobno odczuwają je prawie fizycznie i w odróżnieniu od tradycyjnych nosicieli umieją kontrolować świadomie, a nie intuicyjnie. Wojskowi poszukiwali oczywiście takich jednostek, nie szcędząc kosztów. Mieć pod komendą kogoś, kto nie tylko szybciej zdrowieje i leczy rany, ale robi to na zawołanie, poszerza możliwości zmysłów i odczytuje z ludzkich reakcji informacje, których nawet nadawca może nie być świadomy? Tego chciał każdy dowódca. Problem w tym, że taki implant na pozór nie różnił się niczym od tradycyjnego.

- Szybko! Zastrzyk z bojówkami! - darł się lekarz, gdy po pięciu sekundach John padł na łóżko jak kłoda. Wiedział, co się z nim dzieje i co go teraz czeka. Co by wybrał, gdyby miał możliwość? Śmierć czy drogę przez piekło leczenia – wojny nanitów we własnym ciele? Podczas służby przeszedł już niejedno i uważał się za dość twardego. Teraz miał jednak ochotę zapłakać jak małe dziecko. Nie miał żadnego wyjścia, leżąc niemo na pachnącym świeżością posłaniu łóżka. Okazało się jednak, że wybór dokonał się sam i pochodził z trzeciej, niemożliwej do podejrzenia puli. Dwie minuty po tym, jak podskórny zastrzyk bezigłowy wpuścił do jego organizmu miliony bojowych nanobotów mających zwalczyć nieudaną implantację, wiedział już co się z nim stało. Popęłnił wtedy tylko jeden błąd. Niewielki, ale znaczący. Odezwał się.

- Chyba wszystko w porządku - powiedział spokojnie, a lekarz i towarzyszący mu żandarm oddziałów specjalnych spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Zazwyczaj w tym momencie pacjent z podwójną dawką nanitów albo tracił przytomność, albo wymiotował pod siebie po raz pierwszy, ale nie ostatni.

- To znaczy, że... czuje pan implant?

- Tak.

- Czy czuje pan też coś nietypowego? - to żandarm zadał drugie pytanie i John bez zastanowienia odpowiedział na nie przecząco. Od ponad stu czterdziestu sekund implant bardzo wyraźnie izolował szczególne bodźce, uczucia i myśli. Ukryte w pytaniu wojskowego intencje dotyczące wszczepu 3.0 były dla niego tak oczywiste jak fakt, że lewa ściana gabinetu to tylko jednostronna projekcja, za którą obserwuje go czterech mężczyzn. Implanty dwóch z nich aż grzmiały od uczuć takich jak zdumienie, brak zaufania i odrobina strachu.

- Nie. Wszystko wydaje się być w normie. Musimy tylko sprawdzić, czy implant pozwoli mi wrócić do służby.

- To niesamowite. Pierwszy raz widzę taką reakcję - wydukał zdumiony lekarz. - Musimy zrobić dodatkowe testy.

- To nie będzie konieczne. Dziękujemy za pomoc.

- Ale... To jest niesłychane! Musimy...

- Dziękujemy - powtórzył bardziej dobitnie jego "ochroniarz", ostentacyjnie kładąc rękę na kaburze.

Doktor wyszedł, wykrzykując jeszcze jakieś obelgi. Siedzący w pokoju sierżant spojrzał w stronę ściany i, myśląc, że robi to bardzo dyskretnie, skinął głową. Odwrócona do niego plecami, zakładająca koszulę i wchłaniająca impulsy z otoczenia stała Trójka.

Testy po zabiegu przeprowadzono w ciągu godziny. Pewnie uważano, że w ten sposób łatwiej wychwyci się niezgodności. Teoria dość idiotyczna, biorąc pod uwagę wrodzoną nowość każdego implantu. Pytania mające na celu wykrycia implantu 3.0 powplatanio w sposób, z którego ktoś zapewne był dość dumny. Gdzieniedzie na odpowiedź było mniej czasu niż powinno, w innym punkcie zakres wiedzy wymagał skojarzeń na wyższym poziomie. Nikt tak naprawdę nie wiedział, jak funkcjonuje jakakolwiek Trójka i ten test był tego najlepszym dowodem. John z dziecinnym rozbawieniem wykorzystywał nowe zdolności do natychmiastowej analizy każdej strony, każdego ukrytego motywu za sprytnym pytaniem. Nanity buzowały w jego ciele jak fale płynnych węglowodorów w jeziorach na Tytanie, a on czuł każdy z osobna i cały kolektyw razem. Skan, którym na pewno cały czas go traktowali, musiał wykazywać większą czynność nanitów, ale było to normalne zaraz po implantacji. Nowy rodzaj komórek kończył wtedy budować wiązania, zaczynał pierwsze schematy lecznicze, łątał ostatnie dziury w blokadzie i dopracowywał kamuflaż mający zappełnić dodatkowe bezpieczeństwo przed buntem organizmu. Słowem, dopinał wszystko na ostatni guzik. U Johna też, ale tylko na pozór. Na to wszystko będzie jeszcze czas. Teraz musiał skupić się na utrzymaniu swojego sekretu. Nie do końca wiedział dlaczego, ale wiązka uczuciowa, jaką podrzucała mu blokada była jasna. Nie daj się wykryć.

- Może właśnie dlatego o Trójkach wiadomo tak mało? - pomyślał. - Może oni wszyscy... my wszyscy, czujemy to samo?

Mówiło się, że na wysokim szczeblu jest Trójka dostarczająca informacji o tym stanie. Były też teorie, że wszystkie Trójki rządziły światem. Teorie zwariowane, idiotyczne. Takie, z których John zawsze śmiał się z kolegami przy piwie. Teraz czuł jednak, że być może miały w sobie nanit prawdy.

Skończył testy dziesięć minut przed czasem, z wynikiem osiemdziesięciu procent. Znał go zanim jeszcze oddał kartkę zapisaną elektronicznym atramentem. Zastanawiał się, jak bardzo jego obecne zdolności odbiegały od uczucia po standardowej implantacji. Usprawnione funkcje motoryczne, ostrzejsze zmysły, wydajniejsza praca mózgu i ta nieprzerwana wiązka informacyjna, zwracająca uwagę na konkretne uczucia i skojarzenia związane z otoczeniem. Zastanawiało go to, ale nie dziwiło. Dopiero teraz zrozumiał śmiech implantów z instrukcji używania poszerzeń. Miał swoje dopiero od trzech godzin, ale czuł, jakby było z nim od zawsze. Żadnego okresu przejściowego, żadnej nauki funkcjonalności. Pełna naturalność uzyskana sekundy po zabiegu. Jeśli on miał taką kontrolę nad implantem 3.0, to tym bardziej musieli je mieć ludzie poszerzeni tradycyjnie. Oni wykorzystywali przecież nanity w sposób nieświadomy. Tak, jak każdy wykorzystuje mięśnie i tlen we krwi.

- Dziękuję. Wyniki pozna pan za kilka dni - powiedział sierżant odbierający od niego kartkę, ale John był pewien, że nikt już nawet nie rzuci okiem na jego testy. Wszystko, co chcieli wiedzieć, poznali podglądając go przez cały czas zza projekcji.

- Jestem wolny? Chciałbym sprawdzić, jak implant sprawdzi się w praktyce.

- Oczywiście. Pamięta pan szkolenie?

Pamiętał. W sumie pamiętał teraz wszystko. Tłumaczono mu, że zwalczanie skutków granatu gamma będzie wymagało treningu. W wersji bazowej implant był zaporą mającą na celu jedynie izolowanie informacji o obecności nanitów w organizmie. Mózg mógł wysyłać polecenia o konieczności zwiększenia liczby białych krwinek, ale te nigdzie nie docierały. Dawno już odkryto, że w pewnym stopniu mechanizmy blokady można wyćwiczyć. Nigdy w sposób czarno-biały, to przekaz, tamto przemilcz, ale jako wspomaganie. Implanci mieli lepsze osiągi w technikach medytacyjnych, szybciej reagowali na terapie psychiczne i tym podobne. Takiej właśnie reakcji oczekiwano po nim. Miał po prostu odrzucać negatywne bodźce psychiczne i fizyczne pojawiające się na widok broni. Wiedział, że teraz może to zrobić z marszu. Jego implant dawał mu pełną kontrolę nad przepływającymi informacjami. Ale będzie musiał odstawić mały teatrzyk dla śledzących go gapiów. Bo że będą go śledzić, był pewny. Zabieg przebiegł zbyt dziwnie.

- Tak, jest pan wolny. Oficjalnie jest pan nadal na rehabilitacji, więc proszę się nie spieszyć. Ale ćwicz. Dowództwo na pana czeka.

Sierżant był od niego niższy stopniem, ale mówił jak przełożony. Nic dziwnego. Jego wszczęp komunikacyjny aż huczał od przepływu informacji. John wyczuł też wydłużenie pauz między zdaniami, były o kilka ułamków sekundy dłuższe niż wcześniej. To była kukielka powtarzająca słowo za słowem.

- Oczywiście.

Zasalutowali i John wyszedł. Dwaj pacjenci siedzący na korytarzu też ruszyli w stronę windy. Nie odróżniali się niczym od pozostałych, ale o kilka milisekund za długo na niego spojrzeli, o parę milimetrów za bardzo podnieśli brwi. Splot skojarzeń był jasny. Oto jego cienie.

Zaczął od wymiotów w domu. Obserwatorzy byli w budynku naprzeciwko, w pokoju z zasłoniętymi oknami. Wyczuwał ich nawet z tak daleka i czuł, że z dnia na dzień doskonalili zdolności. Mieli zapewne pełen podgląd, więc widzieli go jak na dłoni, nawet przez grube ściany starej kamienicy w chorwackim mieście Split. Armia wysłała go tu, bo podobno ciepły klimat i obecność ludzi miały wpłynąć pozytywnie na opanowanie sztucznie wszczepionych fobii. Nie oponował. Miasto zmieniło się w ostatnich stu latach tylko w portach i na obrzeżach. Żaglówki i stare kutry zastąpione zostały przez łodzie na ogniwa paliwowe, powstało też kilka nanowieżowców z hotelami i biurami, ale wody nie trzeba było nawet bio regenerować, bo zawsze była idealnie przejrzysta. W nocy wąskie uliczki starego miasta obok pałacu cesarza Dioklecjana rozświetlały nie zwijane ekrany, ale ognie rozpalonych pałeczek żonglerskich, rzucanych w powietrze przez studenta podrygującego w rytm muzyki granej na żywo. John patrzył na ten spektakl z przyjemnością przez dwadzieścia minut, pijąc chłodne Karlovacko i wgrzyzając się w piekielnie drogiego hamburgera z prawdziwej krowy. Szkoda, że musiał go później zwrócić. Licencjonowani hodowcy zapłakaliby z rozpaczy, gdyby to widzieli.

Wywołanie wymiotów było proste jak nabranie oddechu. Przez interfejs w soczewkach wszedł do ulubionego serwisu filmowego i wybrał jakąś idiotyczną strzelaninę ze zdigitalizowanym Schwarzeneggerem. Cząsteczki aktywnej farby na ścianie pokoju ożyły, a on wysłał dodatkowe tysiąc pięćset nanitów do układu pokarmowego, w celu podrażnienia przelyku i naczyń włoskowatych w żołądku. Efekt wstrzymał do pierwszej sceny z użyciem broni palnej. Wtedy zwymiotował gwałtownie do przygotowanej wcześniej miski.

Kolejne godziny spędził na symulowanej medytacji w pozycji kwiatu lotosu z mniej inwazyjnymi materiałami pod ręką. Miał najnowszą powieść sensacyjną Fl1st0sa, interfejs w soczewce podpiął pod serwer z łagodną grą akcji, a na kolanach trzymał zasłoniętą szmatką zabawkę G.I. Joe. Zapalił kadzidła i momentalnie odciął ich zapach. Nienawidził go. Przygasił światła i prostując plecy udawał, że skupia się na przepływie informacji. Nie było to do końca kłamstwem. Powtarzanie mantry maha-mrityunjaya i delikatne zerkanie wzrokiem na coraz bardziej ostre treści militarne było teatrem dla widzów z naprzeciwka. Ale implant naprawdę wyęczał. Multiplikował nanity, wykorzystując resztki wchłoniętego pokarmu i trochę tłuszczu zebranego na brzuchu w ostatnich miesiącach. Brak możliwości samopowielania się nanitów był świętym prawem nanotechnologii. Każde odejście od tego prawa, nie mówiąc już o jego złamaniu, prędzej

czy później ściągało na dany teren jednostki "deratyzacyjne" i ludzi takich jak do niedawna sam John. Ale w jego ciele nic nie działo się już bez jego wiedzy. Nanity nie powielaly się same. To on kazał im to robić. Po czterech godzinach udawanej sesji rehabilitacyjnej był naszpikowany nanitami jak Paryż rasistowskimi poglądami o białasach. Większość jego prywatnej armii była jednak tak idealnie zakamuflowana, że jakikolwiek test wykazałby co najwyżej zwiększoną ilość limfocytów.

Po dwudziestu minutach rozmyślenia wprowadził się w świadomy sen, podczas którego był ptakiem latającym po żyłach własnego organizmu. Obserwował trwające roboty drogowe i remonty z wysokości, jak kierownik budowy siedzący za sterami dźwigu. Czas płynął tutaj wielokrotnie szybciej. Jego organizm pracował na najwyższych obrotach, regenerując się jednocześnie szybciej niż kiedykolwiek wcześniej.

Obudził się wypoczęty. Po drugiej stronie ulicy wyczuł inne wzorce informacyjne. Druga zmiana. Jedząc trzy tosty z serem i popijając je syntetycznym sokiem pomarańczowym, który smakował jak szczyny, napisał krótki raport o postępach rehabilitacji. Wyraził pozytywną opinię o implantacji, ale poprosił o cierpliwość i tydzień na spokojne sprawdzenie możliwości poszerzenia.

Biegał dziennie nie mniej niż czterdzieści pięć minut, dużo medytował (już nie tylko na pokaz), a wieczorami otwierał piwo i siedł o kilka minut dalej w film czy kilkadziesiąt stron głębiej w powieść pełną broni palnej i wybuchów. Nużyło go to przedstawienie, ale nadal czuł, że to konieczność. Nie wiedział tylko dlaczego.

Za dnia chodził też na długie spacer, poznając nowe możliwości poszerzenia. Podstawowe zdolności były w pełni naturalne, ale szybko zorientował się, że jako Trójkę stać go na więcej. W ciasnych uliczkach chłonał impulsy z innych implantów. Czasem nawet udawało mu się wychwycić pojedyncze uczucie lub zamiar od Naturystów. Nie miał pojęcia, jak to było w ogóle możliwe, ale w dzisiejszych czasach każdy miał kontakt z nanitami. Nawet osoby bez implantów. Może z upływem lat zamieniały się one w jakąś niewidzialną sieć informacyjną, jak dawniej sieci komórkowe i radiowe? Próbował wizualizować te połączenia, ale póki co bezskutecznie. Czytał kiedyś artykuł o jakiejś Trójce, która zarzekała się, że umie zmieniać napięcie powierzchniowe na źrenicach w taki sposób, by własne oczy zmienić w naturalne ekrany soczewkowe. Dzięki implantowi przypomniał sobie ten tekst co do słowa, ale nie mógł drażyć tematu poza materiał bazowy. Był pewien, że jego cienie śledziły każdy jego krok w necie.

Odwiedził kameralne kino, by obejrzeć film 2D bez efektów holograficznych. Był właśnie wieczorek retro. Na sali siedziały prawie same pary wsuwające dietetyczną, prażoną kukurydzą i tulące się do siebie przy każdej sposobności. Było wśród nich trzynaście implantów, których uczucia wychwytywał idealnie. Z resztą szło słabiej, ale i tak lepiej niż na otwartej przestrzeni. Zamknął oczy i, skupiając się na odbiorze zewnętrznym, chłonał całą salę, jakby była sokiem w

ogromnym pucharze. Problem polegał na tym, że mógł go ssać wyłącznie przez cienką słomkę. Film trwał nieco ponad dwie godziny i był potwornie wolny jak na te czasy. John wyczuwał zmiany nastrojów na sali. Szczególnie młody blondyn z trzeciego rzędu wydawał się być zanutony na śmierć. Mimo zamkniętych oczu John wyczuwał jego nerwowe ruchy nogą, potworny ziew w pięćdziesiątej minucie i uczucie rezygnacji wylewające się z całej jego postaci. Na bazie emocji, tików, ruchów mięśni i zmiennego ciśnienia krwi mógł wizualizować prawie całą jego postać. Nie widział go na własne oczy, ale wyczuwał, tak, jak skanery antynarkotykowe wyczuwają paczki z kokainą, pokazując na ekranie ich prawie idealnie odwzorowany kształt. Świecąca sylwetka, którą oglądał z zaciekawieniem, jaśniała wyjątkowo silnie w okolicach wszczepu. Implant był tam od dawna, zapewne wszczepiony zaraz po urodzeniu albo jeszcze w fazie płodowej. Kosztowało to krocie, a pozwolenia były jeszcze trudne do zdobycia, ale korzyści wspomagania zdrowia od urodzenia albo i przed nim były ogromne. Niektóre choroby i wady wrodzone można było usunąć jeszcze przed przyjściem dziecka na świat.

John wysilił swoje zdolności, powtarzając mantrę dla lepszego opanowania. Wniknął w implant chłopaka niczym złodziej do słabo strzeżonego domu i podpiął się bezpośrednio pod nieustający w pracy splot informacyjny. Nanity nie powinny niczego transmitować na zewnątrz, ale to, co miał w sobie John nie było zwykłym poszerzeniem. Jego nanoboty wyciągały informacje z zapory nastolatka w proporcjach jeden do jednego. Czuł jak walczy z ciężkimi powiekami i jak tworzy się w nim zarodek wewnętrznego buntu, który da mu siłę by wstać i wyjść z sali. Wszedł w to ziarno uczucia i podlał je świeżą porcją krystalicznie czystych emocji siły i determinacji. Wzrost trwał jeszcze pięć minut, po których blondyn wstał i, dumny ze swojego wewnętrznego samozaparcia, wyszedł szybkim krokiem z kina.

John otworzył oczy, przetarł czoło i nabrał głęboko powietrza przez jaśniejące w mroku zęby.

Idąc wybrzeżem i zajadając bezkalorycznego lodu o smaku czerwonej gruszki, będącego nowym krzykiem wakacyjnej mody, wychwycił na ekranie soczewkowym informację o stawianiu nowej nanokonstrukcji przy wybrzeżu. Sklepy na dole, trzy piętra biur, taras widokowy i cztery piętra hotelowe z jednym, wielkim apartamentem u samej góry, połączonym z basenem i ogrodem na dachu. Inwestor był nieznanym, ale mówiło się o magnatach finansowych z Arabii, którzy wykorzystali naftowe fortuny na rozwój patentów nanodynam i afrykańskich elektrowni solarnych. Nadal kochali chwalić się swoim bogactwem, a przy okazji zarabiać miliardy na turystyce i wynajmie. Sam budynek nie interesował Johna bardziej niż przeciętnego turystę, ale na miejscu miały być tryliony nanitów budowlanych. To mogło być ciekawe.

Usiadł w kawiarni naprzeciwko i zamówił Karlovacko. Wzmocnił czułość kubków smakowych i wyselekcjonował strumień odpowiedzialny za wzór piwa. Nigdy wcześniej nie smakowało tak dobrze. Kulista osłona elektromagnetyczna wokół budynku nie była widoczna gołym okiem. O jej obecności świadczył tylko kordon ekipy budowlanej, stojący za siatką ze znakami ostrzegawczymi. Daleko było tej scenerii do żarzących się milionami nanitów atakujących osłony w Monachium. Ten blask śnił mu się do niedawna przynajmniej raz w tygodniu. Wiedział, że teraz zapanuje nad tym z łatwością.

Nałożył transmisję z sieci na cały ekran soczewkowy i obserwował symulację konstrukcji w rzeczywistości poszerzonej. Za zasłonami widać było tylko kilkunastometrowy dół pełny odpadków budowlanych uzupełnionych biokontenerami, ale w symulacji pokazywano znacznie więcej. Cały budynek miał za chwilę pojawić się tuż przed nimi.

- Czteryście czterdzieści ton. Tyle materii potrzebują nanoboty budowlane firmy Nanotech Constructions do stworzenia nowoczesnego biurowca i apartamentowca. Konstrukcja potrwa zaledwie trzydzieści sekund, ale prace inżynierskie trwają już od roku. - Damski głos automatu był przyjemny. Podał jeszcze kilka faktów dotyczących projektu, po czym zwrócił uwagę widza na przestrzeń nad wizualizowanym budynkiem. Pojawił się w niej elektroniczny stoper odliczający czas do rozpoczęcia prac. Zostało dwadzieścia minut.

Na jednym ekranie swoich soczewek John wyświetlił zdjęcia z satelity w dużym zbliżeniu. Obok umieścił widok z przeciwległej strony, a po środku nałożył aplet rzeczywistości poszerzonej. Wszystkiemu nadał przezroczystość sześćdziesięciu procent i zamknął oczy, chowając się za ciemnymi okularami przeciwsłonecznymi. Zbiorniki z nanitami już od dawna znajdowały się na miejscach, ale były szczelne jak pancierz wahadłowca. Trudno mu było cokolwiek wyczuć. Osłona też nie ułatwiała sprawy, stojąc na drodze jak balon, przez który trzeba było przebijać się siłą.

Piętnaście minut.

Z transmisji zniknęła wizualizacja budynku, a jej miejsce zajął obraz pojemników Nanotech Constructions i szefów budowy siedzących przed kilkoma panelami. Dopinano ostatnie guziki.

Dziesięć minut.

Holoprojektory wyświetliły czerwoną wstęgę na granicach sfery ochronnej, na wypadek gdyby ktoś nie zauważył buchających energią generatorów ustawionych co dziesięć metrów wokół dołu budowlanego. Kula elektromagnetyczna wchodziła pod ziemię na trzydzieści metrów, tak, by nanity miały dostatecznie dużo miejsca na stworzenie potężnych fundamentów i czteropoziomowego, zautomatyzowanego parkingu. Ekipa budowlana wspierana przez lokalną policję odpędziła ostatnich gapiów. Reporterzy wysyłali dodatkowe mini kamery na pozycje i po raz ostatni sprawdzali systemy efektów wizualnych. Nanity trzeba będzie zobrazować, bazując na

danych udostępnionych przez firmę budowlaną. Miliardy kropek za chwilę miały pojawić się na ekranach.

Pięć minut.

Stoper w Augmented Reality przesunął się wyżej i poszerzył o spadające sekundy. Inżynierowie włączyli ostrzegawcze oświetlenie OLED migające pomarańczowym kolorem. Ostatnie sprawdzenie systemów ochronnych, ostatnia analiza siły zapór i zabezpieczeń na wypadek ich przełamania. Nanity w zbiornikach uaktywniono i wgrano procedury, nad którymi zespół ponad dwustu bioinformatyków pracował od roku. Setki godzin testów na modelach, tysiące obliczeń, miliony cyferek w długim na kilka kilometrów kodzie.

John przerwał mantrę dziesięć sekund przed końcem odliczania. Otworzył oczy i obserwował ostatnie cyfry odliczania na stoperze, a po chwili zobaczył coś, czego nie byłby w stanie sobie wcześniej wyobrazić.

Trzy... dwa... jeden... Zbiorniki rozszczelniono i rozpoczął się teatr. W pierwszej chwili nic się nie działo, a dziennikarska wizualizacja pokazywała nanity rozstawiające się wokół zgliszczy i zbiorników, jakie zostawiono dla ich wygłodniałych macek. John natychmiast wyłączył wizualizację w transmisji, bo dwoiło mu się w oczach. Mimo bańki ochronnej i dużej odległości wyczuwał niewidzialny rój tak wyraźnie, że przez chwilę zakręciło mu się w głowie. Jakby jego naszpikowany nanitami organizm przeprowadzał nieprzerwaną spektroskopię nuklearnego rezonansu magnetycznego. Zarówno gołymi oczami, jak i po zamknięciu powiek, widział rój uwijający się w bezmyślnej symfonii programistów. Tysiące milionów robotników, z których każdy wiedział, gdzie iść, jaki atom przestawić z jakim, co połączyć i kiedy samemu rozpaść się w nicłość. Implant przetwarzał te zewnętrzne dane z taką prędkością, że, John był tego pewien, po normalnym poszerzeniu mózg przypominałby grzankę wyjętą po godzinie z tosterka. Po pierwszym onieśmieleniu chłonął jednak ten splot z zadziwiającą łatwością. Mógł w ułamku sekundy przeskakiwać z nanitów oddalonych od siebie o wiele metrów i wiele milionów swoich braci lub traktować je wszystkie jako zbiór, widząc sektory ruchów i plany kolejnych kroków.

Po dziesięciu sekundach przygotowań nanity ruszyły do pracy. Pożarcie materiałów budowlanych zajęło im pięć sekund. Fundamenty, parking i szkielet stanęły w kolejne pięć. Przez ostatnie dziesięć sekund robotnicy uwijali się stawiając kondygnacje, ścianki działowe, szyby z przezroczystego aluminium i wreszcie wyposażenie wewnętrzne. Na biurkach na trzecim piętrze zaczęły pojawiać się notatniki i kubki z ołówkami. Wszystko spisane w tworzonej przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni symfonii bioinformatycznej. Łazienka na piętrze mieszkalnym pokryła się kafelkami. Woda w basenie na dachu chlusnęła jak w odwróconej implozji. Kamery reporterskie pokazywały, jak w ostatnich dwóch sekundach pompatyczna nazwa Future Star wryła się w

marmurowej posadzce za obrotowymi drzwiami wejściowymi. Inżynierowie uścisnęli sobie dłonie. Lubili dodawać takie smaczki do kodu konstrukcyjnego.

Nanoturbiny na ścianach ruszyły pod wpływem wiatru, farba słoneczna momentalnie się rozgrzała i budynek rozświetlił się, zapalając jaskrawe szyldy sklepów na parterze i duży czerwony neon w stylu retro nad wejściem, podkreślający futurystyczną konstrukcję, przypominającą kształtem oliwkę postawioną w pionie.

Wokół placu budowy rozległy się oklaski i gwałtowne okrzyki. John patrzył na przekaz, jednocześnie wyczuwając implantem ostatnie nanity rozkładające się nawzajem w fazie wykończeniowej. Wreszcie ostatni, osamotniony budowniczy podleciał na samą górę budynku, na szczyt iglicy oświetleniowej dla samolotów. Usiadł na jej czubku i rozebrał się, stawiając finalną nanocegiełkę, a iglica zapaliła się czerwonym światłem. O tak, architekci kochali takie smaczki.

W momencie zakończenia konstrukt, gdy widzowie bili brawo, a firma budowlana już liczyła premię za bezproblemowe wykonanie, John skupiał zmysły na ostatnim piętrze i dachu. W momencie, gdy ostatni nanit przeistoczył się w element konstrukcyjny, a ostrzegawcze OLED-y zmieniły barwę na zieloną, poczuł falę niezrozumiałych bodźców płynącą z górnej kondygnacji budynku. Połączenie ciekawości z tajemnicą, dreszczykiem i pewnością celu podróży. Brak strachu. Brak wątpliwości. Jakby nanokonstrukcja przywoływała go do siebie syrenim śpiewem. Nie wiedział tylko, czy to światło latarni w porcie, czy zew sprowadzający na ostre skały mielizny. Jedno było jednak pewne, coś w tym budynku przywoływało go do siebie. Musiał sprawdzić co.

Ochroniarz zasnął w pięć i pół sekundy, dając mu ponad sześć godzin wolności w budynku. Jak do tej pory szło jak z płatka. Od wczoraj nic się tu nie zmieniło. Na zewnątrz było tylko mniej ludzi. O pierwszej w nocy światło osłony konstrukcyjnej odstraszało osoby niepewne nanokonstrukcji. Mniej bojaźliwych gości miał pilnować zatrudniony przez firmę budowlaną ochroniarz. Prawo wymagało, by przez tydzień od postawienia budynku był on nieużywany. Mimo że budowano tak od blisko stu lat i nigdy nie zanotowano przypadku regeneracji nanitów, bano się, że kiedyś roboty budowlane magicznie ożyją i zaczną zżerać okoliczne dzielnice. Zapory działały przez siedem dni, uspokajając nerwy pobliskich mieszkańców. Obecność pojedynczej ochrony była zabiegiem marketingowym, wykorzystującym lukę prawną mówiącą o tym, że na teren nanokonstrukcji mogą wejść główni członkowie ekipy budowlanej. Tworzono więc miniaturowe biura ochrony przy działach architektury. Jeden chętny szczęśliwiec dostawał na tydzień awans z asystenta na specjalistę do spraw bezpieczeństwa nanokonstrukcji, robiąc w istocie to samo co zawsze – siedząc za biurkiem z ogluszaczem przy pasku i popijając kawę. Wszyscy wiedzieli, że robota jest bezpieczna, a pieniądze były znakomite, więc chętnych nie brakowało. Od strony

wizerunkowej podstarzały mężczyzna widoczny za szybami nowej konstrukcji udowodniał, że budynek jest bezpieczny nawet dla seniorów.

Zgubienie przyklejonej od kilku dni do ogona ochrony było równie banalne. Panowie zmieniali się co osiem godzin, ale twarze się powtarzały. Zresztą nawet bez tego wyczuwał ich implanty wśród tłumu, jak kamera termowizyjna obserwująca dwie pochodnie wśród lodowych rzeźb. Pociągnął ich za sobą w stronę stadionu piłkarskiego, na którym właśnie grała lokalna drużyna Hajduk. Cały Split żył tym wydarzeniem, więc o tłum nie było trudno. Trochę ciężiej sprawa miała się z biletami, ale konik stojący przy pustych kasach przyjął transfer z uśmiechem na twarzy. Jego cienie weszły na rządowe legitymacje, zostając trochę z tyłu. Nie zgubili go jednak. Zadbali o to. Poczekał spokojnie za wejściem, zając hot doga. Usiadł tak, by go widzieli i z przyjemnością obejrzał mecz. Hajduk wygrał i stadion portowy Poljud utonął w dymie chorwackich rac. Trzy czwarte widzów była pijana lub przynajmniej podchmielona. Tłum kierujący się do wyjść stracił widoczną wcześniej dyscyplinę. Nie trudno było też o sprzeczkę. John wszedł w implant oddalonego o trzydzieści metrów agenta i postarał się o to, by filtry przepuściły więcej nerwowych uczuć niż powinny. Żołnierze byli znakomicie wyszkoleni i świetnie wykorzystywali wszczepy do kontroli emocji. Z sekundy na sekundę oddalał się jednak od nich o kolejne metry i emocje rosły. Ostatni impuls wysłał, gdy był pięćdziesiąt metrów przed nimi i skręcił za kasę, w stronę parkingu. Agent nie wytrzymał i odepchnął kilka osób stojących mu na drodze. To nie był dobry pomysł w tłumie rozentuzjasmowanych kibiców. Padło kilka ciosów, parę wyzwisk i po chwili John miał za plecami regularną bójkę.

Agenci zostali w tyle, ale nie mógł biec. Za moment zaraportują sytuację dowództwu, a ono prześledzi jego trasę z kamer podglądu ulicy, a jeśli będzie trzeba, to także z satelity. Dla niepoznaki zaszedł do budki z lodami i wziął dwie kulki - Ferrero Rocher i Cytrynowe. Od czasu implantacji uwielbiał wyraziste smaki cytrusów. Ekspłodowały na kubkach smakowych, jakby wylewał na nie świeży sok.

Spacerowym krokiem ruszył w stronę starówki, gdzie miał wynajęte mieszkanie. Nie poszedł jednak do niego. Kamery podglądu na pewno obserwowały je cały czas. Nie miałby nawet jak się schować. Ściany bez siatki maskującej były dla nich przejrzyste jak szyby. Wszedł więc do pierwszego lepszego klubu, znalazł automat z nanitami farbującymi i zmienił kolor koszulki oraz spodni. Pokładającego się od aroniowej rakiji gościa w fotelu pozbawił kapelusza z małym rondem. Usiadł na chwilę przy jednym ze stolików, by złapać oddech. Wczytał kilka podstawowych informacji o nowej nanokonstrukcji na terminalu w stoliku. Wreszcie mógł poszerzyć wiedzę. Oprócz nazwisk głównych kierowników budowy oraz znanych już faktów na temat samej konstrukcji i tego, co w niej będzie można znaleźć nie dowiedział się jednak niczego nowego. Z

pewnością nic nie tłumaczyło tego dziwnego uczucia, które nie ustępowało od czasu obejrzanego spektaklu konstrukcyjnego.

W barze kupił piwo w butelce, połał się nim odrobinę, a resztę wypił z przyjemnością. Udając chwiejny krok wyszedł z lokalu, naciągając nowy kapelusz na twarz. Jeszcze w środku śledził kroki grupki studentów zbliżających się do wyjścia. Śmiali się z pijaczka, który się do nich przykleił, ale sami świętowali od połowy meczu, gdy Walbą strzelił pierwszą bramkę z pięknej główki. Jeden dodatkowy kibic do zabawy. Im więcej tym lepiej. Po około kilometrze John zostawił roześmiane towarzystwo i wszedł do nocnego autobusu, wybierając trasę przez jeden z tuneli pod górami. Kierowca nie powinien zatrzymywać się w środku tunelu, ale widok pijanego mężczyzny, który ostatkiem sił powstrzymywał wymioty przekonał go do złamania przepisów drogowych. Pijak podziękował, zwymiotował pod własne nogi i, kuśtykając na drugą stronę jezdni, złapał przejeżdżającą taksówkę.

Wysiadł dwa kilometry od nowej nanokonstrukcji, wywołując u kierowcy, szybkim przechwytem uczuć, lęk o rodzinę. Nie chciał zostawić za sobą elektronicznego śladu płatności z wszczepu bankowego. Pojazd odjechał z piskiem, a niepozorny pijak przeszedł kilka ulic i pewnie przekroczył osłonę budowlaną w miejscu nieobejmowanym przez system kamer ochrony. Był w środku.

Prześlizgnął się obok smacznie chrapiącego mężczyzny z imieniem Barney na plakietce przyklepionej do marynarki, mającej kojarzyć się z gościem któregoś z mieszczących się w budynku firm, a nie ochroniarzem. Winda czekała na niego na parterze, ale wybrał schody. Miniaturowe kamery były tu zapewne wszędzie, ale wołał nie dać się zamknąć w metalowej puszcze. Im wyżej się wspinał, tym silniejsze emocje dopływały do niego z blokady. Ciekawość zamieniła się w pęd ku wiedzy, motywacja w determinację, a niejasny splot, którego cały czas nie mógł rozszyfrować, zaczął coraz bardziej przypominać to charakterystyczne uczucie, które czujemy wracając do domu z długiej podróży.

Apartament na ostatnim piętrze miał błyszczące wejście, z pewnością z półprzezroczystego aluminium. Na ścianie nie było klamek ani czytników genetycznych. Nie było nawet zarysu drzwi. Ale z drugiej strony ktoś lub coś go obserwowało. Czuł to wyraźnie, tak jak czujesz na sobie wzrok wilka, zastanawiając się, czy wywęszył już twój strach. Mimo to podszedł bliżej i na wypolerowanej powierzchni zobaczył swoje odbicie. Implant rozpałił się od wiązki informacji, na którą próbował odpowiedzieć, ale nie mógł tego zrobić, nie znając pytania.

„Witaj Johnie Denton. Czekaliśmy na ciebie.”

Napis rozjaśnił metaliczną powierzchnię, która momentalnie rozsunęła się na dwie części, zalewając korytarz oślepiającym światłem. Każdy nanit w jego ciele lgnął w stronę tej światłości, a on tego nie powstrzymywał. Zrobił krok do przodu i pozwolił blaskowi się zalać.